

sta malarz, pisarz, żołnierz, więzień stalinowskich lagrów i tułacz. W wiosnę 1940 r. rozstrzelano oficerów polskich w Katyniu, Miednoje i Ostaszkowie; okłamywany przez NKWD Czapski, już jako dyplomata rządu londyńskiego, daremnie poszukiwał ich po całym Związku Radzieckim.

W miejsce wywiezionych, do zwolnionych mieszkań i domów w mieście i na wsi, wprowadzali się przybysze ze Związku Radzieckiego. Pałace, rezydencje zamieniały na instytucje, a w okazałych willach zamieszkiwała „czerwona burżuazja”, m.in. w willi prof. Bartla N. Chruszczow i Wanda Wasilewska. Do naszej czteroosobowej rodziny dokwaterowano bezdzietne ruskie małżeństwo, zabierając nam z czteropokojowego mieszkania dwa z umeblowaniem. Przymusowi sąsiedzi byli skromnymi, wystraszonymi, cicho zachowującymi się ludźmi, unikali kontaktów osobistych.

W jednym z pierwszych transportów na wschód pojechała w lutym 1940 r. nasza nauczycielka od tkaniny p. E. Helm-Pirgo. Będąc w Londynie w 1986 r. na zaproszenie kol. Giercuszkiewicz, też wywiezionej z matką, żoną kapitana Wojska Polskiego, kupiłem książkę pt. „Zew Lwowa” napisaną i ilustrowaną przez Mariana Helm-Pirgo rysunkami z IFDIEL-LAGRU na Uralu i brazami architektury Lwowa. To miła pamiątka z Londynu, a co najważniejsze, o Lwowie.

W czasie wywozek w rodzinnym domu w napięciu oczekiwaliśmy co noc na krzyki: „atkrojtie” i walenia kolbami karabinów we frontowe drzwi. Naszych sąsiadów – rzemieślniczą rodzinę – już pierwszej nocy wywieźli na wschód.

Wywożono przede wszystkim polską inteligencję, rodziny majątne, tzw. burżujów, bogatych chłopów czyli kulaków, bieżerców, którzy nie dopełnili jakichś formalności, osoby po wyrokach sądowych i innych wrogów ZSRR, ludzi niewygodnych dla władzy. Zasada: „dajcie człowieka, a znajdziemy na niego paragraf” była skuteczna, korzystano z usług „sąsiadów”, wskazywali oni na domniemanych wrogów, czyniąc to dla własnych zysków materialnych czy politycznych. Mieszkańcy Lwowa jeszcze nie ochłonęli po lutowych represjach, gdy w kwietniu NKWD przystąpiło do następnych aresztowań i wywozek. Beznadziejność sytuacji, bezradność i strach były naszym udziałem.

W atmosferze przygnębienia miasto szykowało się do święta 1 maja – Święta Pracy, po raz pierwszy tak uroczysto obchodzonego we Lwowie.

„Uczyłyszczę” otrzymało zadanie udekorowania pochodu dzielnicy Snopkowa. Wykonaliśmy godła 16 republik, mnie przypadło godło Karelo-Fińskiej Republiki. Plaskorzeźby o średnicy 1 metra, z gipsu, mokre i ciężkie mocowaliśmy na drewniane stelaże.

Ruszył pochód, który został zastopowany na pl. Świętej Zofii przez trawę sieci tramwajowej. Okazało się, że przymocowane do ciężarowych samochodów dekoracje nie mieszczą się pod drutami sieci tramwajowej. Wynikła awantura na szczepku sekretarza partii, posądzano nas o sabotaż, co było oczywistym nonsensem. Szukanie winnych odbywało się na innych szczepkach partyjnych.

Miasto udekorowano wyłącznie na czerwono oraz portretami wodzów rewolucji. Stoły z napojami i żywnością ustawione na trasie pochodu jakoś nie miały wzięcia – klasa robotnicza nadmiaru rubli nie miała. Spekulanci tak.

Uciekłem z pochodu, nie byłem ciekawy kulminacyjnych uroczystości na prospekcie Lenina – ul. Legionów.

A propos 1 maja. Przygoda jednego chudoźnika przy pracy nad gigantycznym portretem tow. Berii mogła się dla niego skończyć fatalnie. Podczas przeglądu portretów towarzysze radzieccy oniemieli. Tow. Beria miał podwójnie namalowane oczy, jedno nad drugim. Nie było tłumaczenia – sabotaż i Sybir. Solidarna postawa kolegów malarza, że był to wypadek przy pracy – pomylił się o jedną kratkę przenosząc rysunek – uratowała go przed lagrem. A tak między nami, tow. Beria, szef NKWD miał podwójne oczy, wszystko widział i wiedział o obywatelach. Był wszechwładny. Malarz nieświadomie namalował prawdę.

Nadeszły oczekiwane listy od wywiezionych. Adresów, np. z Workuty czy Kazachstanu, szukało się na mapach; paraliżowały naszą wyobraźnię, bo nie setki, a tysiące kilometrów dzieliły nas od bliskich. Dziwaczne trójkątne listy, adresy pisane cyrylicą na lichym przyprawkowym papierze zawierały wieści przerażające, dające wiele do myślenia.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Egzamin, zaliczenia i wystawa naszego dorobku absorbowały nas bardzo. Otrzymaliśmy indeksy w twardej oprawie, ciemnozielone książeczki w języku ukraińskim. (c.d.n.)

Grzegorz Sobesto – uczeń Szkoły Podstawowej nr 51 we Wrocławiu

Moja rodzina pochodzi z Kresów

Historia mojej łączności z południowo-wschodnimi Kresami dawnej Rzeczypospolitej

Z Podolem, położonym na terytorium obecnej Ukrainy, jestem związany przez pochodzenie mojej Babci, śp. Marii z Blicharskich Sobesto oraz – wspomnienia Dziadka, Juliana Sobesto, który te tereny z wielkim sentymentem odwiedza i o nich opowiada.

Babcia urodziła się w 1923 r. w historycznym Zbarażu w rodzinie o tradycjach nauczycielskich; nauczycielem był mój Prapradziadek – Karol Szul, Pradziadek – Wojciech Blicharski, Ciotki mojej Babci – Kazimiera Jaroszowa i Stefania Bolkotowa, oraz szereg osób spo-

winowaconych z rodziną Szulów. W okresie międzywojennym Pradziadek był kierownikiem szkoły powszechnej w Mikulińcach pod Tarnopolem, a potem – do II wojny światowej – w samym Tarnopolu. Moja Babcia razem z licznym gronem kuzynek spędzała zwykle wakacje u swojej Babci w Zbarażu na Załużu, w obszernej domu położonym nad rzeką Gniezną, wykorzystywaną do kąpieli, oraz z pięknym sadem owocowym z pasieką. Dla poznania okolicy młodzież jeździła wynajmowanym wozem konnym na wycieczki. W czerwcu